



Okładki książek Jadwigi Stańczakowej, fot. Justyna Sobolewska

Czułki rąk*

„Lubię tajemnice. Kuliste pioruny. Znaki”

„Materiały parapsychiczne” tak podpisaną teczkę wyjmuję z szafki, do której nie zaglądałam dwadzieścia parę lat. Pachnie starym papierem. Teraz otwieram ją często i z przyjemnością, wdycham. W środku dolna półka wyłożona papierem brajlowskim, grubym, mięsistym, z wypukłymi literami. W głębi znalazłam jeszcze golarkę Charków i zestaw grzałek – nieodłącznych towarzyszek każdej podróży w czasach PRL. Wyjmuję kolejne podpisane teuczki. Wszystko przygotowane zostało dla przyszłej czytelniczki, czyli dla mnie. Odwiązuję tasiemkę. W środku rozpiska zawartości pisana ręcznie i w brajlu, i na maszynie. „Zjawiska psychotroniczne w moim życiu – prelekcja”.

Od czego się zaczęło? Chyba od znaczących snów symbolicznych przepowiadających przyszłość, od intuicji i przeczuc. Parę lat przed wojną nad morzem ni stąd ni z owąd przyszła do niej myśl: „Będą się działy straszne rzeczy. Płyn z prądem. Przepłyniesz”. I to przeczucie sprawiało, że miała poczucie bezpieczeństwa przez całą okupację. Nawet w groźnych sytuacjach. Czuła, że przejdzie przez to. Kilka razy postąpiła w sposób zaskakujący ją samą. I to ją uratowało. Potem miała intuicję, że trzeba za wszelką cenę wyjść z getta i wyprowadzić rodzinę. A potem do tego doszła telepatia, medytacja, dermooptyka, doświadczenia wychodzenia z ciała, wizje, przekazy od tajemniczego guru. W kontaktach z Jadwigą to były zawsze ważne tematy – jej doświadczenia wewnętrzne. Kiedy byłam nastolatką wprowadzała mnie w praktyki, zaczynałam medytować (usypiałam), robiłam techniki „Doskonalenia umysłu” (wyobrażając sobie pływanie w górskim jeziorze). W teczce znajdują rozpiskę: „Ćwiczenia Evelyn dla Justyny”: „Kiedy będziesz znajdowała się w refugium w dowolnym momencie rozpocznij te ćwiczenia. Trzy razy głęboko wciągnij

* Fragment przygotowywanej książki biograficznej o Jadwidze Stańczakowej.

oddech. Potem mów w myślach: Rozkazuję mocą mojej nadświadomości, żebym się nauczyła zmuszać siebie do zrobienia tego, co powinnam zrobić. Wtedy, kiedy trzeba to zrobić. Niezależnie od tego, czy mi się to podoba czy nie”. No widzę siebie w 1989 roku, z którego pochodzi ta rozpiska, kiedy miałam problemy z uczeniem się oraz zaburzenia odżywiania: „Rozkazuję, żeby wrócił mi regularny okres”. Ale żadne ćwiczenia mi nie szły. Nie poszłam tą drogą. Dystansowałam się od rzeczywistości, w której wszystko ma być znaczące: każdy stukot w rurach, dzwonek telefonu, przecucia. Widziałam też, jak w późniejszych latach doświadczenia wewnętrzne nakładają się na jej chorobę psychiczną. Kilka razy się bardzo wystraszyłam. Ale teraz, kiedy czytam jej zapiski dotyczące tych doświadczeń, coraz lepiej rozumiem, dlaczego tak trudno było jej wychodzić z takich stanów, porzucać olśniewające wizje dla zwykłej rzeczywistości. Jak dobrze, że to wszystko zapisała.

Ze ślepą o kolorach

Kiedy traciła wzrok, jej największym marzeniem było zobaczyć kolory. To ją najbardziej bolało. Kiedyś chciała zostać malarką. Po utracie wzroku wszystko stało się szarobure. Zostały błyski światła. Ale to też nie jest tak, że niewidomi widzą tylko czerń. To podobno mit. Mogą być smugi, cętki, szara przestrzeń. Doznania są różne, ale jest też wspólny brak. Świat zapamiętany miał zupełnie inne kolory niż świat, w którym żyła.

– Czy lokomotywy są ciemne? – zapytała na dworcu.

– A skąd, ta jest niebiesko-żółta – usłyszała.

Ulica Marszałkowska, którą zapamiętała, była zupełnie inna, sprawdza ręką, a tu same szklane witryny. Nie mogła sobie wyobrazić kolorowych budynków, a akurat wtedy tak malowano nowe osiedla. Przykładała do wspomnień wyobrażenia wzięte z dotyku. Albo z tego, co usłyszała od widzjących. Ale to było nie to. A kiedy zaczęła medytować, coś się zmieniło. Miron widział, jak dobrze działa na nią medytacja. W 1978 roku notował:

Od pewnego czasu modne są w Polsce medytacje. Przyjeżdżają tu specjaliści, wcale nie Hindusi, tylko Amerykanie, Anglicy czy Finowie, którzy mają za sobą jogowskie uniwersytety. Dużo ludzi się tutaj do nich zapisuje. Zadawana jest mantra, czyli dźwięk do powtarzania. Jadwiga uprawia medytację od września, chwali nadzwyczajnie, że nie ma śladu depresji, przestała zwracać uwagę na niepotrzebne drobiazgi. Na kursie mistrz powiedział wszystkim, że nareszcie jest ktoś, na kogo ta medytacja naprawdę działa, że ta osoba, która uprawia medytację od miesiąca, już doznała czwartego stopnia wtajemniczenia mistycznego. Okazało się, że tą osobą jest właśnie Jadwiga. Jadwiga twierdzi, że ostatnio ma poczucie nieśmiertelności.

W *Ślepaku* opisała, jak to się zaczęło. Najpierw należała do sekcji Psychotroniki Stowarzyszenia Radiestetów. Lech Emfazy Stefański, współtwórca Teatru na

Tarczyńskiej, tłumacz i badacz zjawisk parapsychicznych, polecił jej TM (Technikę Medytacji Transcendentalnej). Poszła na kurs. Latała do Pałacu Kultury z kolejnymi przewodnikami, z jednym z nich tak się spieszyli, że wparowali na jezdnię zamiast zejść przejściem podziemnym. Przebiegali w popłochu, oboje siwi, trochę wystraszeni, że wlepią im mandat, ale chcieli zdążyć, bo na kurs ustawiły się długie kolejki.

medytacja to nurkowanie uwagi
do dna
wynurzenie się
i znów nurkowanie
mantra przypląwa
i odpływa człowiek chce szczęścia
więcej szczęścia
więcej
(*Mój nauczyciel medytacji mówi*)

Na odebranie swojej mantry od nauczyciela założyła swoją najładniejszą zieloną suknię. „Mantra wydaje się czymś tak własnym jak oddech” – zanotowała.

W czasie medytacji miewa przygody – nagle z fotela wywindowuje ją na pustynię albo w góry, gdzie czeka na nią Stary Hindus. Albo siedzi na ławce ze Stachą w Śródborowie i nagle w tej dość nudnej sytuacji – bach, pojawia się niebieski świetlisty słup i wszystko wokół robi się niebieskie. Albo niespodziewanie pojawia się przed nią czerwony owal. W różnych sytuacjach widzący zwykle opisywali jej to, co widać dookoła. Drzewa, kwiaty, ludzi. Ona nie miała nic. A teraz zyskała nie tylko kolory i światła, ale całe sceny, które się przesuwały i migoczą. I już nie musi słuchać, co inni widzą, bo ma własne wizje. W taksówce przewodnik objaśnia, że mijają pałacyk i jak on wygląda. A ją to nic nie obchodzi. Podobnie jak coraz



Jadwiga Stańczakowa, fot. z archiwum rodzinnego

mniej interesował ją rzeczywisty wygląd twarzy rozmówcy, bo zaczęła wyczuwać jego aurę. „Człowiek jakby trochę wylazł z tej ślepoty” – notuje w *Przejsiach*.

Marzyła o czystych barwach. Wiedziała, że prawdziwych kolorów nie odzyska, ale śniła o barwach idealnych. I rzeczywiście w stanach oderwania od rzeczywistości zaczęły jej się pojawiać jakieś takie witraże pomarańczowo-fioletowo-żółte. Najpierw były matowe, a pod wpływem medytacji zaczęły świecić. Pojawił się blask, ale taki, który nie raził oczu. Albo wizje – całe niebo w czerwonych tulipanach. Jadwiga w drodze do wewnątrz odnalazła to, co utraciła, czyli wzrok i o wiele więcej. Czowała się szczęśliwa, wyróżniona i wtajemniczona. W jej życiu duchowym nie hamowało ją to, co było ograniczeniem w życiu codziennym. Mogła wreszcie rozwinąć skrzydła i zdolności, które posiadała. Ograniczenia były zawsze – nie mogła przecież przed wojną studiować na Uniwersytecie Warszawskim, bo była Żydówką, a obowiązywało wtedy „*numerus clausus*” i getto ławkowe. Pozostała jej więc buchalteria, księgowość, której nienawidziła, bo miała głowę i do filozofii, języków, do nauk ścisłych, i do literatury. Po wojnie łapała różne prace biurowe, udało się jej zdobyć wymarzoną pracę dziennikarki, ale zaraz zaczęła ją ograniczać utrata wzroku. A w szkole doświadczeń duchowych i psychotronicznych okazała się prymuską.

Chwila żółtego żonkila

Medytacja otworzyła możliwość innej percepcji. Fascynowało ją, czym jest to inne postrzeganie.

Kiedy zastanawiam się nad moim niewidzeniem, dochodzę do przekonania, że to widzenie, tylko zupełnie inne. To dziwne widzenie barwnych przeszerzeń rozwinęło się we mnie od czasów medytacji. I wciąż się przeobraża. Najpierw te olbrzymie witraże pomarańczowo-fioletowo-żółte. To bledsze, to intensywniejsze. Potem czernie depresji. A ostatnio złocisty blask. Blask, który wydaje się intensywniejszy od słońca. Co będzie dalej – nie wiem.

pisze w *Ślepaku*. Wieczorami staje przy oknie. Nazywa to „chwila żółtego żonkila”, bo blask latarni przypomina jej olbrzymi złoty kwiat. Zdarza się jej widzieć ludzi jako świetliste istoty. W czasie pracy pojawia się złocistość na granatowym albo czarnym tle. Czekala na kolor zielony, który wciąż się nie pojawiał.

– Ciekawe, co jest w tym wizją, co wyobraźnią, co przypomnieniem, co bodźcem? – pytał ją Miron.

– To chyba jest wszystko razem – odpowiadała.

Światło – kolor, które raz się pojawiało, już nie znikalo. Repertuar się wzbogacał.

– A to się nie znudzi?

– Nie. To jest bardzo piękne. Wydaje mi się, że i dla widzącego byłoby to piękne.

– Widzący ma dużo tego. Ja na przykład mam dużo takich widzeń, i na świetliście. Mnie to nieraz męczyło.

Miron robił przy niej różne ćwiczenia. Zaczął się uczyć brajla. Ale też zamykał oczy i próbował z kolorami. Ciekawiło go przede wszystkim, jak to działa, czy to wyobraźnia czy wizja. Jadwiga opowiadała mu, że czasem ma dodatkową frajdę, bo kiedy dostaje różę, to sobie wyobraża, jaki ma kolor. Ale to jest wyobraźnia, a czym innym są te wizje, które miewa i które pojawiają się w niespodziewanych momentach, samorzutnie. I co ciekawe, te jej kolory nakładają się na rzeczywiste źródła światła – wizja jest w czerwieni, to palący się kinkiet robi się źródłem tej czerwieni albo przejeżdżający samochód źródłem złotego blasku. Nie tylko widzi te kolory, ale zaczyna o nich myśleć, o naturze barw. Ciekawi ją, dlaczego zieleń jest trudna. I czy to prawda, że żółć i czerwień są gorące, a niebieski i zielony – zimne.

Miron zaczął się zastanawiać nad tym, jak nasza świadomość kolorów jest uwarunkowana przez tradycję, choćby religijną, że czerwień to piekło, a niebieski – niebo. A gdyby tak wyjść poza te skojarzenia? Jadwiga dzieliła swoje życie na okresy kolorów, które były dla niej ważne: najpierw czas niebieski, jako młoda dziewczyna, potem czerwony, a na starość – czas zielony. Zastanawiało ją też, jak może wyobrażać sobie kolory ktoś niewidomy od urodzenia. U niej czasem najpierw pojawiało się wspomnienie widzialnego. Kiedyś na ławce zaczęła myśleć o kwiatkach w przedwojennym ogrodzie w Konstancinie. Potem wieczorem w pokoju w czasie medytacji przeniosła się w jakiś inny wymiar – w czarnej przestrzeni coś zaczęło wirować. Zorientowała się, że to nie snopy iskier, ale świetliste płatki kwiatów, żółtych i liliowych dali, pomarańczowe płomyki nagietek i nasturcji, a potem róże jej matki i fioletowe kielichy petunii. Wirowały i znikaly. Pojawiła się jej taka abstrakcja kwiatowa, duch konstancińskiego ogrodu.

I w tym wszystkim ważne były drzewa. Czula z nimi szczególną więź. Te związki człowieka z otaczającą przyrodą tłumaczyła falami elektromagnetycznymi. Jesiony za oknem czy kasztan na podwórzu byli jak bliscy przyjaciele. Czula ich wpływ na swoje widzenie. W Śródborowie Stacha zostawiała ją w lasku brzozowym. Podchodziła do drzew, badała korę, wodziła po niej rękami: „suną po nim/ jak dzieńne stwory/ moje palce” (*Pień starej brzozy*). „Działanie drzew bywa przedłużone. Często w mieszkaniu podczas czynności domowych dalej widzę ich obraz. I czuję ich dobroczynne działanie”.

– Ona mnie nauczyła kochać drzewa – mówi Maryla Musidłowska, kuzynka Jadwigi. – Najważniejsze, co od niej dostałam, to poczucie, że jesteśmy częścią czegoś większego, natury.

Kasztan w podwórzu
rozpostarł liście
jeden jedyny
(*haiku*)

W swoim raporcie Jadwiga pisze, że jest szczęśliwa.

Moje widzenie jest całkiem odmienne od wzroku. Ale jakże daleka jestem od ślepoty! Mam własne lśniące kolory. Własne oświetlenie. Własne obrazy i kształty jak gdyby narysowane piórkiem. Czuję się szczęśliwa. Odzyskałam poczucie wizualnego piękna. Dzięki jodze powróciłam do moich korzeni. Jestem zintegrowana z dzieciństwem i młodością. Jest we mnie wewnętrzna harmonia.

3 listopada 1994 rok. Pamiętam ten czas, kiedy stany euforyczne przeplatały się z ciężkimi stanami depresyjnymi i psychozą. Było więc i jedno, i drugie naraz: poczucie szczęścia, kiedy zagłębiała się w swoje wizje, i ciemność, w którą spadała.

Stoję w mojej bramie
patrzę w czerń ulicy –
latarnie
statki nocy
dołem coś sunie
ryby elektryczne
wyskakują
z toni
(*Poczucie światła*)

W jej wizjach kolorystycznych wielką rolę odgrywało mieszkanie, które nazywała mikrokosmosem. „Najbardziej ono na mnie działa, kiedy jestem sama – opiekuńczo, dobrze. W tym właśnie mieszkaniu z mikrokosmosu przenoszę się w medytacji jakby w kosmos”. Uprawia chodzenie wahadłowe, na dwie osie – od przedpokoju do telewizorowego i druga od jej pokoju przez telewizorowy do pokoiku Dziadka. Ćwiczy kontemplacyjne chodzenie – wystawia dłonie wnętrzem na wierzch. To są takie jej anteny. Porusza się szybko na „czułkach rąk” i prawie się nie potyka. A jak krzyżuje ręce na piersiach, to obija się o meble. Ręce służą jej jak skrzydła, na nich frunie po mieszkaniu.

Puste mieszkanie.
Ja jestem w nim,
ono jest we mnie,
otwiera się szeroko,
rozpościera na wszystko –
na medytację, pisanie, muzykę,
na zabawianie siebie książką, rozmową.
Możemy zapalić wszystkie światła

albo schować się w ciemności w grocie.
 Możemy łapać radio i tele-fale
 i fale myśli
 (byle wyłączyć telefon).
 Możemy być kabiną statku kosmicznego
 i lecieć. (...)
 (*Mieszkanie*)

Szmatka czerwona, szmatka niebieska

Na zdjęciu siedzą z Lechem Emfazym Stefańskim przy owalnym stoliku. Na środku klucz, na drugim zdjęciu karty. Trwają ćwiczenia dermoopptyczne. A zaczęły się tak, że Stefański wpadł na Hożą i zapytał, czy ma żarówkę 150-watową. Myślała, że będzie potrzebna do ćwiczeń telepatycznych, a to była dermoopptyka. Położył na stoliku dwie karty, czerwoną i niebieską. Poprosił, żeby wodziła po nich palcami i powiedziała, jaką czuje różnicę.

- O, tak, ta wydaje mi się bardziej szorstka i lepka.
- Ta jest czerwona.
- A ta gładsza.
- Ta jest niebieska – powiedział Emfazy.

Pomieszał karty, sprawdziła palcami.

– Czerwona!

Zgadza się. I dalej wszystkie trafienia były dobre. Nie chodziło o temperaturę, czy kolor jest ciepły czy zimny, ale o szorstkość i gładkość. Potem zaczęli ćwiczyć czerń i biel na kartkach. Okazało się, że czerń szorstka, a biel gładka. Zaczęła pod szkłem rozpoznawać czarne kształty. Sama była zdumiona, jak jej się udaje. Powoli doszła do rozpoznawania liter pod szkłem. Pierwsza była wielka litera T. Potem mniejsze, różne. Tak ją to wciągnęło, że wstawiała w nocy, żeby ćwiczyć. W ciemności szło jej tak samo dobrze, jak przy mocnym świetle.

Dermoopptyka stała się kolejnym źródłem radości obok jogi. I wielkim odkryciem zdolności, a też krokiem w stronę wyjścia ze ślepoty. Na swój sposób. Choć nauczyła się, jak radzić sobie z niewidzeniem na co dzień, to w głębi duszy go nie akceptowała. I tu nagle, taki prezent – inne widzenie. Wydawało się, że kolory w jej wierszach czy prozie są przywoływaniem zapamiętanej przeszłości, tymczasem coraz więcej jest tam odczuwania barw, które było nowym doświadczeniem.

W jej debiucie poetyckim *Niewidoma* z 1979 roku znalazł się wiersz o tym doświadczeniu.

Śni mi się
 czarny motyl z podwójnymi skrzydłami.

Uchyła rąbka czarnych skrzydeł,
 spod nich sączy się żółty blask.
 Motyl krąży koło mnie.
 Dotyka moich palców. Odfruwa.
 Znowu dotyka palców.
 Budzę się.
 Tego dnia w żółtym blasku silnej żarówki każą mi wodzić palcami po kartce
 czarnej i po kartce czerwonej.
 Wydaje mi się, że czułymi opuszkami palców wchodzę w głąb barw,
 w hamującą szorstkość czerni
 i w ciepłą lepkość czerwieni.
 Jestem niewidoma.
 Ale rozróżniam barwy.
 (*Wchodzę w głąb barw*)

Pisze w *Ślepak*u:

Niektórzy badacze sądzą, że ciało ludzkie jest wyposażone w receptory
 widzenia. Niewspółmiernie rzadsze niż w oku. Pewnego dnia wzięłam
 do ręki klucz, położyłam go na stole. Nie wiedziałam, z której strony są
 ząbki. Uniosłam nad nim rękę i okazało się, że potrafię rozróżnić, czy są
 z lewej, czy z prawej. Jak? Najtrudniej dać na to pytanie odpowiedź. Jest
 to odczucie niesłychanie delikatne, jak gdyby lekkie muśnięcie płynące
 od powierzchni oglądanej dłonią.

Kiedy idę ulicą blisko muru, wyczuwam ten mur, podobnie jak wy-
 czuwam klucz pod dłonią. Wydaje mi się wtedy, że odbieram wrażenie
 twarzy. W mieszkaniu wyczuwalne są dla mnie krawędzie mebli i drzwi.

Czuła coś, co nazywała aurą przedmiotów. Próbuję to sobie wyobrazić, ale moje
 ręce zupełnie nie są jak czułki. I kiedy zamykam oczy, a nawet zdejmuję okulary, to
 wszystko dookoła słabiej odbieram, świat jest gorzej widzialny, słyszalny i odczu-
 walny. Jadwigę ciekawiło, jak wyglądają sny innych niewidomych. Opowiadali jej,
 że czasem są związane z tym, jak widzieli tuż przed utratą wzroku. Jeśli wszystko
 było zamglone, to widzą we mgle. I nagle przypomina mi się, że w moich snach
 zawsze źle widzę. Jakbym była zawsze bez okularów. Jestem krótkowidzką – mam –9.
 Jadwiga przed utratą wzroku miała wąskie pole widzenia i musiała budować obraz
 z kawałków. Zauważyła, że we śnie też wydobywa przedmioty i ludzi jakby kamerą.
 Ale pod tą warstwą czasem dochodziła do widzenia pełnego z czasów dzieciństwa.
 I we śnie pojawiały się czyste kolory. Uważała, że sny są czymś pośrednim między
 żywymi obrazami a twórczością naszej nadświadomości.



Pomiędzy światami

Najpierw biegała na medytacje i spotkania w Towarzystwie Psychotronicznym, potem sama wygłosiła w nim prelekcję w 1986 roku. Jej doświadczenia sięgają 1972 roku, kiedy pierwszy raz miała „odskok od rzeczywistości” – sama tak to nazywa. Czuła się zdrowa psychicznie, a jednak żyła w innym świecie (skończyło się to w szpitalu na Nowowiejskiej). Wtedy, leżąc na kanapie, usłyszała głos starego Żyda. Uznała go za przodka, przedstawił się jej jako Jakub Ibrahim Ezaw, księgarz z Antwerpii z XVII wieku. W opowiadaniu *Antykwariusz* opisała przeskakiwanie między dwiema rzeczywistościami – tu Dziadek woła ją do stołu,

Ćwiczenia dermoopptyczne z Lechem Emfazym
Stefańskim, fot. z archiwum autorki

tam jednocześnie ona rozmawia z antykwariuszem. Bardzo ją bawiło to bycie w dwu światach na raz. Pewnego dnia nagle zaczęła kreślić w powietrzu jakieś znaki od prawej do lewej.

– To są hebrajskie litery – wyjaśnił jej antykwariusz.

– Ale ja ich nie znam. Nawet nie wiem, jak wyglądają!

Uświadomiła sobie, że tylko jej się wydawało, że je zna. I zaczęła zastanawiać się nad swoją tożsamością: „Czy w ogóle jestem jeszcze Żydówką? Bez języka, bez wiary, co znaczy właściwie – być kimś?”. Stary Żyd mówił jej, że jest ślepa i w jego czasach żebrałaby pod sklepikiem. A w jej czasach może pisać i czytać brajlem. Pojawiał się czasem niespodziewanie, nie mogła go natomiast przywoływać wtedy, kiedy chciała. Ale kiedy zaczęła spisywać swoje przeżycia okupacyjne, czuła, że ktoś za nią stoi, że to on kieruje jej palcami.

Potem zaczął jej się pojawiać Stary Hindus i góry. Czuła, że otrzymuje od niego przekazy telepatyczne. „Kim jest mój Stary Hindus? Człowiekiem z innego zakątka świata związanym ze mną telepatycznie? Obrazem mędrca, o którym pisze Jung? Moją nadświadomością czy świadomością pozaziemską? Nie wiem. Dla mnie on istnieje. Kieruje moim życiem” – pisze w prelekcji.

Pod wpływem Lecha Emfazego Stefańskiego robiła ćwiczenia „out of the body” metodą Roberta Manroe. Nazywała to wyjściem ciała astralnego z ciała fizycznego. Tych przekazów telepatycznych było coraz więcej. Właściwie każda wizyta u niej to były opowieści albo o sygnałach, albo o przekazach. Pamiętam swoje zniecierpliwienie. Jadwiga opowiadała, że jest leczona przez swojego guru zdalnie z innego świata. Każde stuknięcie było znaczące. Tego było za wiele. W gorszym czasie miała pretensje i była zła na nas, że nie wierzymy w tego guru i całą resztę. Traciła kontakt z rzeczywistością. Teraz, kiedy czytam jej zapiski, lepiej rozumiem, co się z nią działo. Patrę z oddalenia, bez tego lęku, który czułam wtedy, kiedy byłam obok.

Ale bez wątpienia miała rozwiniętą intuicję i zdolności telepatyczne. W 1951 roku, kiedy w szpitalu umierała jej matka, zadzwonił telefon. Głuchy. Usłyszała przekaz myślowy: Już po wszystkim. W tym czasie matka zmarła, a ze szpitala nikt nie telefonował. Medytacja pogłębiała jej doznania parapsychiczne. Kiedyś śnił się jej Miron oplątany drutami, we śnie wołała go rozpaczliwie. Następnego dnia dostał zawału.

Siła woli i samowoli

Razem z doświadczeniami parapsychicznymi pojawiła się u niej idea samoleczenia. Była zawsze Zosią samosią – sama nauczyła się czytać brajlem czy chodzić z laską. Wszystko sama. „Na początku lat siedemdziesiątych przydarzył mi się lekki odskok od rzeczywistości. Przeżywałam wtedy różne dziwne historie. Wymyśliłam sobie także własne leczenie oczu”. W 1982 roku przyjechała do niej z Anglii znajoma i opowiedziała jej o leczeniu psychotronicznym, które wymyśliła Amerykanka Evelyn M. Monahan, a które polega na żądaniu od swojej nadświadomości poprawy zdrowia – trzy razy dziennie po kilka minut. Najpierw ćwiczenia oddechowe,

potem żądania do nadświadomości. Jadwiga wprowadziła metodę Evelyn na stałe. Autosugestia i ćwiczenie woli stały się dla niej codziennym rytuałem. Z technik autosugestii korzystają różni ludzie przy wyjątkowo trudnych wyzwaniach. Reżyser Werner Herzog chciał siłą woli zatrzymać śmierć swojej przyjaciółki krytyczki filmowej, więc szedł piechotą z Monachium do Paryża. I rzeczywiście zastał ją żywą. Kiedy o tym usłyszałam, pomyślałam o różnych eksperymentach Jadwigi. Miała poczucie, że siłą woli może przywrócić sobie jakąś formę widzenia.

Póki istnieje we mnie
Krztyna woli
Pochyłam się nad sobą
Unoszę siebie
W ramionach
Z oślepnętego dna
Dźwigam w górę
(***)

Zaglądam do Internetu i trafiam na filmiki z monotonnym głosem wprowadzające w metodę Evelyn, utrzymane w kiczowatych pastelowych kolorach z obrazami chmur i nieba. Reklamują siłę autosugestii, „nadświadomość, która czyni cuda” – na szczęście pojawia się komunikat, że nie należy rezygnować z medycyny tradycyjnej. Ale widać, że metoda nadal jest popularna. Jadwiga stosowała wiele technik, w gorszych momentach non stop robiła jakieś ćwiczenia. Maniakalnie. W pewnym momencie poczuła się tak dobrze, że zdecydowała o odstawieniu litu – wtedy był to główny lek na depresję, ale zrobiła to w porozumieniu ze swoją lekarką. Był 1988 rok. Potem nastąpiło nagłe pogorszenie, szpital na Nowowiejskiej, który bardzo źle znosiła.

Lekką poprawę widzenia zauważyła w pewnym momencie jej okulistka prof. Filipowicz. Czy naprawdę była to poprawa widzenia? Czy Jadwiga po prostu bardzo chciała to usłyszeć? Nie wiem. Ale jej zapiski z poprawy widzenia są bardzo poruszające. „Był lekki wiatr. Wydawało mi się, że coś się zmieniło. Drzewa ożyły. Światło sączące się przez gałęzie obrysowywało ich ruchome kształty”. Od pewnego momentu oprócz ćwiczeń dermooptycznych zaczęła ćwiczyć samo widzenie, bo jak mawiał jej lekarz prof. Abramowicz, „oczy muszą mieć gimnastykę”. Po latach ćwiczenia widzenia rękami wróciła do ćwiczeń widzenia oczami. Miała sen, który zinterpretowała jako poprawę widzenia zauważoną przez doktor Filipowicz.

Pewnej jesiennej nocy
Zobaczyłam we śnie
Gęstwę zieleni
A nad nią wielki słońceznik
Mojego życia

Prawie cały
 w czarnych ziarnach
 tylko na środku
 jak pióropusz
 gorącożółte
 Płaty kwiatu
 To chyba dobra
 wróżba
 (*Wielki słonecznik życia*)

W swoich raportach psychotronicznych pisze o poprawie – że pole widzenia się poszerza, że widzi ruch.

Kiedy wpatruję się w okno, widzę zarysy części gałęzi jesionów, szczególnie jeśli są w ruchu. Zarysy te zaczynają się zielenić w moich oczach. Przypominam sobie, że kiedy traciłam wzrok, najlepiej widziałam drzewa o zmierzchu. I teraz zmierzch jest dla mojego widzenia najkorzystniejszy. Ptak, który przelatuje pomiędzy drzewami, jest dla mnie ruchomą świetlistą smugą.

Miała świadomość, że to jest tylko mały wycinek widzenia, ale cieszyła się z tego z całą mocą. Migotanie rąk. Ruchome obrazy. Jak w kinie. Kiedy przychodziła do nas, robiłyśmy ćwiczenia na moim biurku – stawiałam wazonik, pac, Jadwiga trafiała go ręką, potem temperówka. Mówiłam jej, żeby sobie „popacała”, bo na moim biurku nie zna przedmiotów. Poprawę widzenia łączyła z wróżbą pani Niewczasowej, wróżki, do której chodziła latami. „Pani będzie lepiej z oczami. Pani trochę przewidzi. Będzie pani chodziła po ścianach”. Wtedy nie wychodziła na ulicę sama, więc te późniejsze samotne wyprawy były wielką zmianą na lepsze.

Pilnuj tego dziecka

W co wierzyła? „Po zjawiskach, których doświadczyłam, mam głębokie przeświadczenie, że śmierć nie jest kresem istnienia” – pisała. Jadwiga przede wszystkim wierzyła w nadświadomość. Była przekonana, że dzięki niej zaistniało wszystko, co dobre w jej życiu. Zapisała: „Kiedy życie człowieka jest zamknięte, wydaje się, jakby to był z góry ułożony scenariusz. Ale kto jest reżyserem albo przynajmniej współreżyserem? Wydaje mi się, że nadświadomość, która aktywnie uczestniczy w kształtowaniu ludzkiego losu”. Kiedy tak myślałam o tej nadświadomości, przypominało mi się wydarzenie z dzieciństwa, niebezpieczeństwo, może nawet śmiertelne. Miałam może 8 lat, mieszkaliśmy na Chłodnej w bloku, obok było sporo rozpadających się ruder. Ufałam dorosłym, rodzice nie ostrzegali przed obcymi ludźmi. Staralam się być przede wszystkim grzeczna. Kiedy więc jakiś mężczyzna powiedział, że bym

weszła z nim do piwnicy w opuszczonym budynku, żeby poszukać jakichś zeszytów, oczywiście chciałam pomóc. I już zaczęłam wchodzić do zatęchłej sieni. I nagle coś mi kazało uciec, nie oglądając się za siebie. Nazywałam to sobie później aniołem stróżem, może to była nadświadomość, może intuicja.

Wkładałam z powrotem papiery do teczki, zawiązuję tasiemkę. Jadwiga mówiła, że dla zjawisk nadprzyrodzonych nie potrzeba wyjaśnień naukowych. Ale te jej zapiski są zbiorem argumentów i próbą naukowego czy raczej pseudonaukowego dowodu. Dokumentuje, zapisuje, nie ma wątpliwości (to jest ta jej siła), że to wszystko trzeba opowiedzieć, przekazać innym. Chociaż wtedy, kiedy to pisała, nikt specjalnie nie był chętny, żeby słuchać. Więc wysyła w przyszłość.

Ta teczka niesie w sobie wezwanie: niech mnie ktoś usłyszy. I robię to ja, 27 lat po jej śmierci. W teczce znajduję też wśród przekazów Starego Hindusa zdanie: „Pilnuj tego dziecka”. Chodziło o moją szybko postępującą krótkowzroczność – Jadwiga sprowadzała mi z Zachodu lekarstwo na spowolnienie jej. I udało się.

Przyśniła mi się kilka dni temu. Miała białe tęczęwki bez źrenic. Patrzyłam na te oczy i myślałam, ach, to tak wygląda. Nie było w tym widoku nic przerażającego. Może to był obraz jej oka wewnętrznego, które widziało te wszystkie nadzwyczajne zjawiska.

JADWIGA STAŃCZAKOWA – pisarka, poetka, redaktorka pism dla osób niewidomych. Urodziła się w 1919 roku w Warszawie. Swoją twórczość literacką rozpoczęła cyklem felietonów radiowych. Debiutowała w 1979 roku tomem wierszy *Niewidoma*. Opublikowała także zbiory poetyckie: *Magia niewidzenia* (1984), *Depresje i wróżby* (1984), *Na żywo* (1987), *Ziemia-kosmos* (1990) oraz tomy prozy: *Ślepek* (1982), *Przejścia* (1986), *Boicie się czarnego ptaka* (1989). Od młodości zmagająca się z chorobą oczu, która doprowadziła ją do utraty wzroku. W 1952 roku została redaktorką naczelną pisma dla osób ociemniałych *Pochodnia*, kierowała także kwartalnikiem „Niewidoma Kobieta”. Wspólnie z Mironem Białoszewskim napisali *Dziennik we dwoje*, który ukazał się w 1992 roku, a wznowiono go w 2015 roku. Na podstawie książki powstał scenariusz filmu Andrzeja Barańskiego *Parę osób, mały czas* (2005). W 2015 ukazał się jej wybór dawnych i niepublikowanych wcześniej tekstów pt. *Haiku*. Zmarła w 1996 roku w Warszawie.